Rok II. Kraków, dnia 15go Października 1870. Ner 20.



wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca.

PRENUMERATA: wynosi rocznie 4 złr. lub 2 tal. 15 sgr. — Półrocznie 2 złr. lub 1 tal. 8 sgr. — Kwartalnie 1 złr. lub 20 sgr.
LISTY I PRENUMERATĘ przesyłać należy pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.
OGŁOSZENIA przyjmuje się po 4 centy za miejsce drobnego wiersza, z dopłatą 30 cent. za stempel, za każdorazowe umieszczenie.

DRUGIE OPOWIADANIE
U MARCINA
o ciałach niebieskich.

Na drugi raz, gdy ludzie zeszli się przed chatą Marcina, wyszedł zaraz Marcin, i pozdrowiwszy ich uprzejmie, siadł na drzewie pod ścianą. Odłożył fajkę, a gdy ludzie usiedli sobie koło niego, tak zaczął opowiadać:

— Przypomniałem sobie wiele ciekawych rzeczy o ciałach niebieskich i będę wam opowiadał po trosze, jeżeli słuchać będziecie.....

— O, i z wielką uciechą! — przemówili ludzie.

Na to powie Marcin:

— Prawda, że się znajdą ludzie, co o wszystkiém wiedzieć są ciekawi, ale i to prawda, że są ludzie, którym nie chce się zastanawiać i myśleć i dla tego mówią, że téj lub owéj rzeczy pojąć nie potrafią. Do takich ludzi należy Błażéj Krupa. Rozpowiadał po całéj wsi o naszém piérwszém opowiadaniu o ciałach niebieskich, że mu się w głowie mąci, gdy słyszy o takich rzeczach, bo to nie na chłopski rozum; że lepiéj robić co innego, jak słuchać o takich rzeczach, o których myślą tylko marzyciele.

— O, pewnie, że każda rzecz trudna, któréj nie znamy — wtrącił Wojciech Szeliga — ale gdy się dołoży uwagi, to się ją zrozumié i łatwo się jéj nauczy. Na taki sposób, gdyby ludzie nie myśleli, mielibyśmy jednakowo na świecie; nie byłoby zmiany ani ulepszenia. I o czytaniu tak mówią: O, to trudne, to nie na moją głowę; któżby temu podołał? A gdy się szczérze kto weźmie do dzieła, to i wkrótce nauczy się czytać i wszystko pojmie należycie.....

— Dobrze mówicie, mój sąsiedzie! — przemówił Marcin. — I o ciałach niebieskich może pojąć każdy, kto prawdziwą ma ochotę, boć przecie wiedzieć należy — jak powstaje dzień i noc? jak powstają pory roku? kiedy dzień dłuższy lub krótszy? co to jest zaćmienie słońca lub księżyca? — bo na to stworzył nas Bóg przedwieczny, żebyśmy o dziełach Jego przynajmniéj tyle wiedzieli, ile w stanie naszym wiedzieć potrzeba.... A wiész więcéj, to ci milszym ten świat Boży, miléj ci na sercu, uczujesz prędzéj swoję maluczkość a wielkość Boga! Nie mówię tu, żeby owe ciała niebieskie badać, bo to nie jest naszą rzeczą, ale przecież wypada poznać chociaż zjawiska, które sprawują dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku.

— Owóż, mój kochany Marcinie! — odezwał się Wawrzyniec Kotara — opowiadajcie nam o ciałach niebieskich jak wy wiécie i rozumiécie nie zważając na Błażeja Krupę, którego i tak nic poczciwego nie obchodzi!....

— Dziękuję wam za dobre słowo — odrzekł Marcin — żeście mi dodali ochoty do opowiadania. Ponieważ żyjemy na ziemi, od niéj sobie zaczniemy. Ziemia nie jest światem, ale tylko małą cząstką świata. My z niéj widzimy świat wielki, do którego należy nie tylko słońce, księżyc, ale i milijony gwiazd rozmaitych, które błyszczą nad głowami naszemi. Każdą gwiazdę widzimy z osobna; tak też i nasza ziemia osobno unosi się w przestrzeni nieba, otoczona powietrzem, a na około niéj unoszą się znowu inne ciała niebieskie. Ziemia nasza jest także ciałem niebieském. Ale nie jednemu wyda się to rzeczą trudną do pojęcia, jakby to być mogło, żeby ziemia unosiła się w przestrzeni nieba i na niczém nie spoczywała? A przecież tak jest, moi kochani! Nie wisi ona na niczém, jakby sobie kto myślał, bo popatrzmy się na inne ciała niebieskie! Czy słońce, księżyc i gwiazdy mają jaką podporę? Nie, one same uno-

szą się nad głowami naszemi, tak i ziemia utrzymuje się w przestrzeni nieba bez podpory. Jak ręka Stwórcy inne trzyma gwiazdy, tak samo trzyma i ziemię, i jak tamtym, tak i ziemi spaść nie pozwoli, ale nakazuje jéj odbywać swobodnie naznaczoną sobie drogę. Nam słabym ludziom nie może się to pomieścić w głowie, żeby taki ciężar jak ziemia ze swojemi górami i dolinami, kruszcami i kamieniami, jeziorami i morzami, mogła się bez podpory utrzymać w przestrzeni nieba, ale na to nie wystarczy rozum ludzki. Bóg jest wszechmocny, u Niego nic nie jest niepodobném. Jeżeli jednem słowem stworzył świat ten niezmierzony, którego pojąć nie możemy, może i ziemię unosić w przestrzeni nieba.

— A jakiego téż ziemia jest kształtu? — zapytał Wacław Burek.

Na to powie Marcin z rozwagą:

— Mówiłem wam przeszłego razu, że ciała niebieskie są kulami, owoż i ziemia jest kształtu kulistego. Kto o tém nie wié, myśli sobie: Gdybym szedł i szedł coraz daléj, przyszedłbym do takiego miejsca, gdzie pewnie jest przepaść ogromna. — Tymczasem, ponieważ ziemia jest kulą, nigdzie brzegu ani krawędzi mieć nie może. I mówi daléj: Gdybym szedł i szedł coraz daléj, odszukałbym nareszcie koniec ziemi.— Tymczasem, ponieważ ziemia jest kulą, końca niema. W drodze widziałby ciągle ziemię i ziemię, rzéki i morza, a one znajdują się także na ziemi. I choćby chodził i chodził, nogi schodził, jak to mówią po kolana, nigdzieby nie znalazł końca ziemi, bo ziemia jest okrągłą. Z tego więc powodu wszędzie jest koniec ziemi. I tu gdzie stoimy, jest koniec ziemi. Dotykamy się jéj nogami; a więc dotykamy się jéj końca, a gdzie tylko się udamy, wszędzie będziemy na ziemi. Wszędzie nad nami sklepi się niebo jakby półkula jaka. Idąc daléj, znowu widzimy je nad sobą, a wszędzie zdaje się, jakoby spoczywało na ziemi. Gdybyśmy byli na wodzie, i tu byłoby to samo. Daleko bardzo widzielibyśmy wodę a gdzieś niby na jéj końcu opiérałyby się brzegi nieba. A płynąc daléj, znowu daléj toby się wydawało. I tak powtarzałoby się to bez końca, bo ziemia jest okrągłą a niebo nad nią wypukłe, półkuliste.

Dawniéj siedząc ludzie na jedném miejscu, nie znali ziemi i nie wiedzieli jaką ona ma postać. Ileż to tedy potrzeba było doświadczenia, trudów i nauki, ilu wieków, zanim ludzie tak poznali ziemię, jak ją znają dzisiaj!.... Przed wiekami myślały sobie niektóre narody, że ziemia jest wielką płaszczyzną, a gdzieś na jéj końcu jest ogromny otwór, w który wchodzi słońce przy zachodzie a wychodzi znowu rano drugim otworem z drugiéj strony ziemi. Inne narody myślały sobie, że do około ziemi wznoszą się wysokie góry a na nich opiéra się niebo jakby na słupach. Inne twierdzą dotąd jeszcze, że ziemia nie unosi się w powietrzu, ale stoi na słupach. A toć nawet małe dziecko spyta się: A na czémże stoją owe słupy? Odpowiedzianoby, że na podporze. A podpora na czém? Ale ludy te nie zadają sobie takich pytań. Gadanie atoli takie nie ma podstawy. A im ciemniejsze ludy, tém potworniejsze wyobrażenia mają o dziełach Boskich.

— A są téż jakie inne dowody, że ziemia jest okrągłą? — zapytał Jędrek, co skończył we wsi szkołę.

— O, pewnie, że są! — odrzekł Marcin. — Właśnie miałem wam o nich mówić. Chcąc ludzie poznać różne okolice ziemi a przytém przekonać się jaką jest w istocie ziemia, puścili się w drogę i podróżowali ciągle w jednym kierunku. Gdy się skończył grunt stały, płynęli morzem, a potém znowu udawali się suchą ziemią, a zawsze w jednę stronę. Po długiéj a długiéj podróży przybyli nareszcie do tego miejsca, z którego puścili się w drogę. To ich przekonało, że ziemia musi być okrągłą, bo inaczéj nie podobnaby im było wrócić do tego samego miejsca. A tak objechano ziemię kilka razy. Jest więc jeden dowód. Zdawałoby się tedy, że płynąc na wielkiéj wodzie, jaką jest morze, płyniemy jakby po stole, bo woda nie może się przedstawiać wypukło. I tu jednak jest złudzenie. Gdy żeglarze z daleka uważają brzegi morza, to na nich widzą najprzód wierzchołki wież, szczyty domów, potém ich środki a nakoniec widzą całe od spodu. A z brzegu, gdy ludzie patrzą na dalekie morze, to widzą z dala jakby punkcik, który jest okrętem, a potém gdy się zbliża, widzą u niego tylko wierzchołki, późniéj żagle i nakrycia, a w końcu cały kadłub. Gdyby więc ziemia nie była okrągłą i morze także nie miało, chociaż na pozór nie dającéj się dojrzeć wypukłości — widzianoby z brzegu od razu cały okręt, a z morza od razu całe budowle od spodu do góry. Jest więc drugi dowód. I na ziemi dzieje się tak samo. Gdyby ziemia była płaską, tobyśmy widzieli wszystko jak na dłoni nawet na mil kilka; tymczasem, gdy się zbliżamy do jakiéj wsi lub miasta, widzimy najprzód szczyty domów, potém ich ściany, nareszcie ich spody. A ztąd wynika, że człowiek całéj ziemi ani nawet wielkiéj jéj części naraz widzieć nie może, bo ona jakby góra jaka zagina się w oddaleniu, a z tego powodu nie możemy widzieć, co się daléj znajduje. Oto znowu nowy dowód, że ziemia jest okrągłą. Są jeszcze inne a najpewniejsze dowody, o tych jednak usłyszycie dopiero w dalszém opowiadaniu. Teraz pamiętajcie chociaż tyle.

W tém odezwał się Grzegórz Bobek:

— Ale ja tego nie mogę zrozumieć, jakby to być mogło, żeby ziemia była okrągłą, kiedy jak mi opowiadano, są na ziemi takie góry, które mają 28,000 stóp wysokości?

— To prawda — odparł Marcin — że są takie góry, ale cóż one znaczą względem ziemi? Ziemia jest ogromną kulą, jakiéj sobie wyobrazić nie możemy, a więc góry na niéj, choćby najwyższe, wydają się jakby chropowatości na jajku. Zresztą możecie to pojąć inaczéj. Weźcie wielką kulę i wrzućcie ją do wody a potém do piasku. W niektórych miejscach przyczepią się kupki piasku, a czyż przezto zmienią okrągłość kuli? Oto tak samo ma się rzecz i z ziemią. Góry nie zmieniają wcale jéj kulistości.

— Ha, niech i tak będzie z górami! — rzekł na to Wawrzyniec Kotara — ale gorsza z tém, jakby ludzie chodzić mogli, gdyby ziemia była okrągłą? Przecież mieszkają oni na całéj ziemi — to jakżeby mogli chodzić po drugiéj stronie ziemi albo u spodu, kiedyby spaść musieli?....

— I to prawda! — odpowiedział Marcin — ale na ziemi tak się nie dzieje! Czy myślicie, że ludzie chodzą po ziemi tak jak muchy po powale? Muchy mają u nóg swoich haczyki, to czy po ścianie czy po powale chodzić mogą. Ludzie nie mają, jak wiecie, ani haczyków ani szponów. A przecież na drugiéj stronie kuli ziemskiéj pod nami jest Ameryka; ludzie tam są tacy jak i my, chodzą jak i my, a żaden z nich nie spadnie. Ale bo téż ziemia jest ogromną, to choćby się kto przewrócił, to się nie zesunie jak z kuli w przepaść, ale spadnie na ziemię; choćby kto nie wiem co wyrzucił w górę, to ono znowu zleci na ziemię. Tak samo gdyby ktoś

miał bardzo wielką kulę, to choćby nad nią podrzucił ziarnko piasku, to ono nigdzie nie spadnie, tylko na tę samą kulę. Ptak n. p. wyleciawszy po nad ziemię, nie może się od niéj oddalić, bo nie poleci tak daleko, a gdy się spuści to tylko na ziemię. Człowiek, gdy podskoczy, to spadnie także na ziemię, a choćby i rzucił kamień nie wiem jak silnie, to go nie zarzuci daleko, a że go rzucił, musi spaść na ziemię, bo ona jest ogromném ciałem względem wszystkiego, co się na niéj znajduje. A co się więcéj jeszcze przyczynia do tego, że z niéj nic spaść nie może, to wam już chyba innym razem wytłomaczę, bo dzisiaj już za późno.

— Prawda, prawda, kochany Marcinie! — zawołali ludzie. — Na dzisiaj dosyć będzie do myślenia nad tém, coście nam opowiedzieć byli łaskawi.

Ludzie podziękowali Marcinowi i rozeszli się do swych domów.

Józef z Bochni.

HISTORYJA O STACHU JEDYNAKU.

PRZEZ
Macieja Szarka.

II.

Jak Stachowi schodziły młode lata przed ożenieniem.

Kiedy dzionek, ruch na dworze,
To Stach jeszcze śpi w komorze;
A gdy ojciec rusza w pole,
Żeby pługiem orać rolę,
Matka mówi: Niebożątko!
Niech śpi jeszcze me Stasiątko;
Niechaj wzrasta w zdrowie, siły,
Mój klejnotek drogi, miły!
Pracy czeka go niemało.....
Więc Stach chrapie, jakby grzmiało.
Do roboty, niech Bóg broni!
Ni do cepa, ni do koni,
Ni do wozu, ni radlicy,
Ni do kosy lub płużycy....
Tu brak gwoździa, tu powrozu;
Bicza, styka, kół u wozu.
Gdy się imie, zaraz stęka,
Zda się, że mu głowa pęka;
I złości się Stach niezdara,
Konie bije co niemiara...
Kiedy latem bujna niwa,
Lasem kłosów się pokrywa —
I z siérpami na zagony
Idą matki, dzieci, żony,
Więc i Staszek z rodzicami
Wlecze nogi za żeńcami....
Lecz w robocie, odpuść Panie!
Co się schyli, to znów stanie,
Co tnie siérpem, to spoczywa:
To się gapi, to znów ziéwa,
Wreszcie zaraz po śniadaniu,
Chyli głowę ku drzémaniu.
Lecz gdy w święto w karczmie grano,
I tańczono i śpiéwano,
Stach ostatni do roboty —
Piérwszym bywał do ochoty:
Żwawo, raźno przytupywał.
Przed muzyką przyśpiéwywał,
I wesoły i ochoczy,
Na dziéwczęta zwracał oczy,
A matka się rozpływała,
Że takiego syna miała.
Czasem znowu pośród zwady,
Trudno było dać mu rady;
Lada słówko, wnet do kija,
W srogiéj bitce się uwija,
Tanecznikom drze czupryny,
Choć niesłusznie i bez winy.
Matka na to tylko wzdycha,
A Bartłomiéj mówi z cicha:
Oj zuch Staszek, dziécię nasze,
Nie da sobie dmuchać w kaszę!

Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

(Ciąg dalszy)

Kompany zaś Franka nie pijąc tyle co on, byli trzeźwiejsi. Przychodzą więc do niego niby na ratunek. Ale zamiast ratować, zaglądnęli do kieszeni i zabrali, co się dało. Zostawili go w kałuży a sami poszli w swoję drogę, ciesząc się z dobrego zarobku na jarmarku.

Rano przechodzą dobrzy ludzie, patrzą, a Franek leży jak bez duszy.

— I ma to być człowiek, wyższy od źwiérzęcia? — mówi jeden — Tymczasem leży to jak istne bydlę, niepodobne do człowieka, bo zawalane i zohydzone!...

— Moj Boże! — rzeknie drugi człowiek — szkoda téj biédnéj a tak pracowitéj Celiny!..

— Będziecie widzieć, mili ludzie! — powiedział trzeci — że ten Franek marnie zginie, bo widać jest na nim jakieś niebłogosławieństwo za sprawki młodociane i krzywdy wyrządzone ojcu....

— Aj Boże, Boże! — westchnęła jakaś kobiéta — Nie szkoda też to człowieka i tego pięknego dobytku?...

A Franek nie daje znaku życia. Owoż ludzie leją nań wodę i dają czémprędzéj znać żonie. Przybiega w rozpaczy i ledwie poznaje swojego męża. Był to straszliwy obraz, który wódka maluje swojemi kolorami.

Wzięli ludzie Franka i zanieśli do domu. Inni zostali jeszcze na miejscu, kiwali głowami i mówili coś długo a najbardziéj żałowali dobréj Celiny.

Franek dopiéro na drugi dzień przyszedł do przytomności, wstał z łóżka, ale bardzo był blady i zmieniony.

Przystępuje ku niemu Celina i mówi:

— Toś pewnie przehulał wszystkie piéniądze?

— A cóż tobie do tego! — odfuknął złośliwie Franek.

— A tak, co ci do tego? — rzekła łagodnie Celina — Kto nie pracuje ciężko, ten nie wié jak szanować grosza!.

— Stul gębę, kłapaczko! — wrzasnął Franek Jak przehulam, to przehulam swoje! Cóżeś ty mi wniosła?...

Wtém wstąpił wójt do chaty.

—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł poważnie mierząc okiem Franka.

Na wieki wieków — odrzekła smutna Celina.

— Ej Franciszku, Franciszku! co wy też robicie? — mówił wójt jakiś rozżalony. — Cała wieś o was tylko opowiada, każdy was żałuje. Ja jako dobry wasz przyjaciel, przychodzę do was, aby was przestrzedz. Nie oddawajcie się grze w karty; namiętność to okropna. Gdy kogo opanuje, zatruwa mu życie, odwodzi go od domu, zagłusza mu spokojność domową, odbiéra mu rozum i wtedy nie pomoże mu nawet religija, bo karciarz, to najnieszczęśliwszy człowiek na świecie przez swój szkaradny

nałóg! W zaślepieniu swojém nie zważa na żonę, gospodarstwo, dobre imię i swoję przyszłość i dosługuje się żebraczego kija albo marnéj śmierci. Karciarz najskłonniejszy do kradzieży, bo gdy widzi potém nędzę pchającą się drzwiami i oknami do domu — albo kradnie albo dopuszcza się jakiego bezecnego uczynku, albo odbiéra sobie życie. Nie mówię ja, żeby z wami się tak stało; zachowaj Panie, ale was przestrzegam, zważajcie na swoją duszę! Lepiéj być szczęśliwym i spokojnym człowiekiem, jak wyprzéć się Boga i słuchać podszeptów diabelskich!...

— Gadajcie sobie zdrowi! — krzyknął Franek i trzasnąwszy drzwiami, wyniósł się do ogrodu.

— Ha! cóż robić z upartym i złośliwym człowiekiem! — przemówił wójt kiwając ręką.

Celina głośnym wybuchła płaczem.

— Ufajcie Bogu, dobra kobiéto! — pocieszał wójt — i Jemu polecajcie strapienie swoje!

Po tych słowach wyszedł zmartwiony z chaty.

Franek długo siedział w ogródku. Słońce ślicznie jaśniało na niebie, a Frankowi cokolwiek w duszy zrobiło się markotno.

— Dobrze mówią! — myślał sobie — usłucham ich rady, ale tylko psubratów raz ogram, będę inne prowadził życie. Odbić się muszę!...

I to myśląc sobie wrócił do chaty.

Co się stało daléj, dopowiemy wam drugim razem.

PIĘKNY PRZYKŁAD.

W sławném mieście Krakowie oprócz akademii, dwóch gimnazyjów i szkoły technicznéj są jeszcze trzy szkoły główne o 4. klasach i dwie trywijalne o 3. klasach. Przed autonomiją wszystkie te szkoły opłacał wysoki rząd. Dopiéro podczas autonomii szkoły trywijalne w Krakowie na Piasku i na Kleparzu dostały się pod magistrat czyli pod urząd gminny. Starzy panowie radni o podniesieniu pensyj tych nauczycieli nie myśleli, dopiéro teraźniejsi wzięli się do tego i popodnosili pensyje ze 150 złr. na 300, z 200 na 400, a z 250 na 500 reńskich.

Wiadomo Wam, że gminą nigdzie nie rządzą wszyscy, ale tylko wybrani, ławnicy czyli radni. Otóż, że Kraków wielki, to też i radnych jest tu ze 60. Ci znowu są podzieleni na sekcyje: jedni zawiadują szkołami, drudzy porządkiem, inni podatkami, i t. d. a na pełnéj radzie każda sekcyja przedkłada, co zrobiła. Dawna sekcyja szkolna mało zważała na szkoły, dopiéro teraźniejsza zrozumiała, czego chce całe miasto, pan prezes Dr. Dietl i czego potrzebują nauczyciele, bo w teraźniejszéj sekcyi są dobre głowy: ks. kanonik Górnicki, p. Jędrzéj Józefczyk, p. Józef Majer i p. Marfiewicz. Jest tu między radnymi wielu adwokatów, doktorów, kupców i ludzi z różnéj kondycyi, a same zuchy, bo tu jest z czego wybrać, lecz wszyscy koło jednéj sprawy nie mogą chodzić. Koło téj sprawy szkolnéj najwięcéj chodził p. Józefczyk, bo to człek dobry i zna się na szkole.

Jak szkolna sekcyja tę podwyżkę spisała i p. Józefczyk na pełnéj radzie pismo przeczytał, tak wszyscy krzyknęli: Dobrze, tylko jeden z dawnych radnych chciał tę rzecz odwlec, ale nic z tego, bo jak bez jednego żołnierza może być wojna, tak też tu i bez niego zrobiono.

Teraz w Krakowie nauczyciele trywijalni miejscy mają większe pensyje niżeli nauczyciele szkół głównych rządowych. Wysoki rząd podniósł już pensyje profesorom akademickim i gimnazyjalnym, a teraz słychać głośno, że i tym przy głównych szkołach podwyższą.

Bierzcie sobie przykład z gminy miasta Krakowa i podnieście pensyje nauczycielom o ile możecie, bo trzeba Wam wiedzieć, że nauczyciel ubogi, to nawet i nie przyniesie wielkiéj korzyści gminie; a Wy, co to wodzicie rej w gminach, zapatrujcie się na p. Józefczyka, nie na owego nieżyczliwego pana.

A. Skoczek z Radomyśla.

O różnych krajach i ludach

przez

Józefa Chmielewskiego.

Przysłowie mówi, że najbliższa koszula ciała, a ztąd wynika, że najważniejsze dla nas to, co nas najbliżéj otacza. Ponieważ mieszkamy w Galicyi, ona nas obchodzi najwięcéj, dla tego od niéj zaczniemy swoje opowiadanie, chociaż krótkie, bo na dłuższe nie starczy miejsca. Lecz o Galicyi pomówimy trochę więcéj, bo ona jest przecie naszym krajem rodzinnym.

Nazywa się ona tak dopiéro od 1772 roku. Ma i drugą nazwę *Lodomeryja.* Piérwsza pochodzi od dawniejszego księztwa halickiego, druga od księztwa włodzimirskiego. Dawniéj była ona częścią tak zwanéj Małopolski. Dzisiaj składa się z księztwa oświęcimskiego i zatorskiego, zwielkiego księztwa krakowskiego, z części niektórych województw, z Czerwonéj Rusi, Pokucia, księztwa halickiego i z części Podola.

Galicyja ma tytuł królestwa i jest po Węgrzech największym krajem w państwie austryjackiém. Dzieli się na Galicyję wschodnią i zachodnią. My mieszkamy w Galicyi zachodniéj. Galicyję dzielono dawniéj na obwody czyli cyrkuły. Roku 1867 podzielono ją na 74 powiaty i tak trwa dotąd. Ma ona 1426 mil kwadratowych czyli takich kawałków ziemi, które ze wszystkich cztérech stron mają po mili długości. Na téj ziemi jest miast i miasteczek razem biorąc 319, a wsi 6.271.

W Galicyi są trzy główne rzéki: *Wisła, Dniestr* i *Prut.* W zachodniéj Galicyi mamy Wisłę. Do niéj wpadają: Biała, Soła, Skawa, Raba, Dunajec, Wisłoka i San. Wisła stanowi granicę wschodniéj Galicyi z Królestwem Polskiém. Wschodnią Galicyję przerzyna prawie środkiem Dniestr, do którego wpada wiele rzék dość znacznych, największą atoli jest Stryj. Prut jest w wschodniej Galicyi na południu.

Granicę południową tworzą *Karpaty.* Ciągną się wzdłuż całego kraju. W Sądeczyznie zwą się te góry *Tatrami* i *Pieninami.* Przed niemi są *Bieskidy,* w których najwyższa góra jest *Babia góra,* mająca przeszło 5.000 stóp wysokości. W Tatrach najwyższą górą jest *Świnnica.* Ma przeszło 7.000 stóp wysokości; w Karpatach zachodniéj Galicyi *Łomnica* ma 8.000 stóp wysokości, gdy przeciwnie szczyty Karpat w wschodniéj Galicyi dochodzą najwyżéj przeszło 6.000 stóp wysokości. Góry w Tatrach są to prawdziwie granitowe skały. Do 4.000 stóp wysokości dochodzą

lasy szpilkowe; wyżéj rosną tylko krzewy jagodowe i krzaki zwane kosodrzewiną; daléj są łąki czyli hale, a nad niemi piętrzą się gołe skały, zaledwie gdzieniegdzie mchem porosłe.

Północną część Galicyi zajmują same równiny. Jeziór niema w kraju naszym, ale za to pośród szczytów tatrzańskich są jeziora wielkich rozmiarów, powstałe ze śniegów stopniałych i źródeł. Z tych *Morskie oko* jest największe; ma przeszło 60 morgów rozległości, a leży prawie 4.000 stóp wysoko pomiędzy ogromnemi skałami.

W kraju naszym jest kilka bardzo wielkich stawów, które wyglądają prawie jak jeziora. A ryb w nich co niemiara.

Mamy wiele źródeł siarczanych, żelaznych, słonych i wzmacniających. Naftę znachodzą w wielkiéj ilości.

Klimat Galicyi jest łagodny i zdrowy, a przecież jest on najostrzejszym ze wszystkich krajów austryjackich. Przyczyną są Karpaty, które niedopuszczają wiatrów południowych, ciepłych, ale nadto wstrzymują wichry i burze północne, zimne. Dla tego mamy lato nie zbyt gorące i krótkie. Ciepło dochodzi od 20 do 29 stopni, zimno do 24, chociaż czasem bywają zimna dochodzące 28 stopni. W górach powietrze jest zimniejsze, dla tego śniégi i w lecie widzieć tam można.

Pomimo tego wszystkiego w Galicyi rodzą się dobrze wszelakie rośliny; zwiérząt nie brakuje, a ludzie dochodzą do 80 a często i 100 lat wieku.

W górach mamy granit, kamień wapienny, łupek, glinkę, piaskowiec; są i kruszce: żelazo, miédź, nawet złoto i srébro, cynę, cynk, galman, żywe srébro, a z kamieni: krzemień, wapień, marmur, alabaster, krwawnik, glinę porcelanową i garncarską, węgle kamienne, gips, torf, bursztyn, wapno, siarkę, saletrę, a co już soli, to mamy aż do zbytku.

A i lasów nie braknie w Galicyi. Są w nich dęby, jodły, świérki, modrzewie, brzozy, jawory, buki i t. d. Nierozsądni niszczą je bardzo, ale są one jeszcze bogactwem wielkiém i o brak ich lękać się nie trzeba.

Ziemia w ogóle urodzajna i żyzna; udają się na niéj wszelkie warzywa i zboża. Ziemie nad Dniestrem słyną z urodzajności, a co już Podole, to szukać ziemi takiéj po świecie, bo nie trzeba jéj nawozu, a rodzi tytuń, kukurydzę i melony.

. . . Pobereżem na Podole,
A w Podolu jak w stodole!
Tu kraj cały jednym łanem,
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlékiem, płynie miodem —
A lud cały wielkim panem!

Północna część Galicyi piaszczysta. Podgórze podkarpackie krzemieniste i wapienne, ale i tu nie giną ludzie z głodu.

Opatrzność udzieliła nam także nie mało drzew owocowych, jarzyn, ziół, ptactwa i zwiérząt! Znajdziemy tu i orły i sępy, trzody i rogacizny dosyć, zwierzyny w lasach nie brakuje, a w górach znajdziemy niedźwiedzie, ostrowidze, jelenie, świstaki i kozice, które niestety tępią chciwi ludzie!

KALENDARZ.

Październik ma dni 31.

Dni.		Święta Rzymskie.
Ewangelija u Mat. św. w rozdziale 22. O wezwanych na gody.		
16	Niedziela	**19 po Świąt.** Gawła, opata.
17	Poniedziałek	Florentego, bisk. wyzn.
18	Wtorek	Łukasza, ewangelisty.
19	Środa	Piotra z Alkantary, wyzn.
20	Czwartek	Przenieś. św. Wojciecha i Ed.
21	Piątek	Urszuli, panny, męcz.
22	Sobota	Korduli, panny, męcz.
Ewangelija u Jana św. w rozdziale 4. O chorym synie królewskim.		
23	Niedziela	**20 po Świąt.** Jana Kantego.
24	Poniedziałek	Rafała Archanioła.
25	Wtorek	Kryspina i Kryspia, mm.
26	Sroda	Ewarysta, papiéża, męcz.
27	Czwartek	Iwona, wyzn.
28	Piątek	Szymona i Judy, apost. m.
29	Sobota	Narcyza, bisk.
Ewangelija u Mat. św. w rozdziale 18. O dłużnym i złośliwym słudze.		
30	Niedziela	**21 po Świąt.** Marcela, pap.
31	Poniedziałek	*Wigilija.* Wolfganga, b. wyz.

Wsch. sł. d.	g.	m.	Zach. g.	m.	Dł. d. g.	m.
17	6	28	5	2	10	34
22	6	36	4	52	10	16
27	6	44	4	43	9	59

Ostatnia kwadra d. 17 g. 7 m. 2 wieczór.
Nów . . . . d. 24 g. 4 m. 24 wieczór.
Piérwsza kwadra d. 31 g. 8 m. 49 rano.

Przypomnienia gospodarskie.

Przesadzać w piękne dni owocowe oraz dzikie drzewka i krzewy. Zasiéwać ziarna i nasiona wszelkie drzew liściowych; wycićrać pnie i grube gałęzie z mchu, żywicy i gniazd robaczych grubém ostrém płótnem. Maliny z miejsc, na których pięć lat przebyły, przesadzać na nowe miejsca. Liście opadłe zamiatać na kupę i gnoić do użycia na wiosnę. Ogrodowiny wybiérać, do czego pora najlepsza nad wieczorem i w piasku suchym przechowywać na potrzebę zimową i wysadki. — Grzędy szparagowe przykryć gnojem, zerznąwszy wprzódy łodygi. Zaraz z początku miesiąca zasiéwać pietruszkę, marchew, szpinak i szczepiórek (trybulkę) bulwiasty. Grzędy po zebranych ogrodowinach nawozić gnojem i przekopać lub zorać. Kwiaty gruntowe, długotrwałe przykryć liśćmi lub słomą. Kwiaty w doniczkach podléwać tylko w koniecznéj potrzebie, a tak je ustawić w oknach, żeby do wszystkich dochodziło światło i obracać je w różne strony; przytém utrzymywać je w największéj czystości, odejmując pleśń, mech, pożółkłe liście i przekwitłe lub psujące się pączki.

Siew oziminy powinien być skończonym w piérwszéj połowie tego miesiąca. Tatarkę, buraki, ziem-

niaki i wszystkie rośliny okopowe ostatecznie sprzątnąć. Podorywki przyspieszyć. O rowach i przegonach pamiętać. Łąki nawodniać. Pszczoły z brudów i trupów oczyścić, słabym dodawać żywności.

Konie i źrébięta paść dobrze i poić regularnie. Bydło karmić powoli suchą paszą. Odsadzić cielęta przeznaczone do chowu. Owce i świnie utrzymywać czysto. Drób poczynać tuczyć. Przeznaczonemu do niesienia jaj dawać jeszcze gotowany owies i kukurydzę. —

Lach z Lachów.

O życiu dawnych Polaków.

Zamierzamy podać Wam kilka opisów z dawnych czasów, abyście się wiernie przekonali, jak to żyli dawniéj przodkowie nasi?

Kromer, co to, jak wiécie, urodził się w Bieczu, tak pisze w dziele swojém 1574 r. wydaném o Polakach:

— Lud polski cerę twarzy ma jasną, włosy żółte lub białawe, postać przystojną, wzrost średni. U mężczyzn jak i u kobiét przebija się na twarzy przyrodzona ich dobroć i szczéróść; charakter bowiem Polaków jest szczery i otwarty i prędzéj wolą być sami oszukanymi, niż kogo zdradzić; raczéj do ubłagania niż do porywczości są skłonni. Obchodzą się z powolnością i łaskawością. Od porywczości i zuchwalstwa dalecy, idą za przykładem starszych. Monarchom swoim i władzcom rządowym powolni; są dobroczynni i gościnni. Zagranicznych ludzi podejmują z największą uprzejmością. Są skłonni do naśladowania obcych obyczajów. Młodzież w rozwolnieniu obyczajów, zaniedbane częstokroć ma wychowanie; do szkół jednak tak uboższa szlachta jako też i mieszczanie posyłają synów swoich dla nauki języka łacińskiego. Wielu w domu utrzymuje nauczycieli dla dzieci; córki szlacheckie i mieszczańskie uczą się w klasztorach i domach pisać i czytać w polskim i łacińskim języku. Dorosłe zajmują się tkaniem, wyszywaniem i gospodarskiemi zatrudnieniami.

Wielu Polaków podróżuje po obcych krajach; trudy wszystkie pielgrzymskiego życia cierpliwie znosząc, nie mało na to łożą kosztów. Znajomości języka w tych narodów, u których przebywają, z największą nabywają łatwością. Przybierają sposób życia i ubiór zagraniczny. Do naśladowania więcéj skłonni niż do samoistnego dzieł tworzenia. Z trudnością poświęcają się nauce w przedmiocie jednym. Akademija krakowska wydała bardzo wielu znakomitych mężów, biegłych w wyższych rachunkach, astronomii, sztuce lékarskiéj i innych wysokich naukach. W Polsce jest znaczna liczba lékarzy od tego czasu, jak rozwiozlejsze i wytworniejsze życie namnożyło chorób. Gospodarstwo w kwitnącym stanie.

Dawni Polacy, przodkowie nasi, mówi Kromer, nie dbali o zbiory bogactw; przestawali na zaspokojeniu piérwszych potrzeb, dla tego żyli spokojni i szczęśliwi w swych zagrodach. Mniéj było pracesów, kłótni, nienawiści; więcéj zgody i miłości między bracią, krewnymi i sąsiadami; rzadkie były o granice spory, a działy między rodzinami załatwiali polubownie krewni i sąsiedzi. Szlachta nazywała się inaczéj ziemianami, dla tego, iż początkowo pewne części ziemi otrzymywała od panujących książąt pod obowiązkiem odbywania służby wojennéj. Od wieków miała w polach i lasach rozrzucone mieszkannia. Każdy w swym dworze lub zamku trudnił się gospodarstwem lub polowaniem. Żony ich skromne i gospodarne, zajmowały się prócz możniejszych, dozorem nad kuchnią lub tkaniem płócien. Podróże odbywały kobiéty w krytych powozach, bo wstydem było wielkim wyjść na ulicę z odkrytą głową, obnażoną szyją lub piersią. Mężczyźni jeździli najczęściéj konno. Możniejsi otaczali się asystencyją złożoną ze szlachty, w jeden krój i kolor sukni przybranéj. Asystenci z szlachty służyli najczęściéj nie z potrzeby, ale dla protekcyi u dworu i w sądach u wielkich, znakomitych w kraju mężów oraz u senatorów świeckich i duchownych. Obowiązek ten nie hańbił, lecz przynosił zaszczyt. Byli i tacy, co synów tych, którym sami służyli na dworze, przyjmowali do swego boku. Najliczniejsza i najmożniejsza szachta trawiła wiek swój w tém zatrudnieniu przy dworach.

PISANIE MACIEJA SZARKA DO JÓZEFA Z BOCHNI.

Najchwalebniejszy przykład dał pan Konstanty Rucki, dziedzic wsi Machowa, że kazał znieść karczmę stojącą naprzeciw jego dworu, i miejsce to wraz z podwórzem i pozostałym murem darował gminie, pod warunkiem postawienia na nim budynku szkolnego. To samo uczynił dla włościan drugiéj wsi Ociki i zamierza nie stawiać żadnéj karczmy w swych majętnościach.

O mój Boże! mnie włościanina, niezamożnego gospodarza i prostego człowieka ten najchwalębniejszy przykład pana Konstantego Ruckiego pobudził do wielkiéj radości. Spodziéwam się, że wszyscy panowie właściciele dóbr ziemskich pójdą za tym przykładem. I jabym wstąpił w ślady pana Ruckiego, gdybym miał choć ośm morgów gruntu. Oddałbym na wieczną pamiątkę na szkołę ludową w swojéj gminie dwa morgi, a ja bym miał 6 morgów z rodziną moją. Nie żałowałbym, jak żałują ci, co tysiące mają morgów ziemi, ale Bóg świadkiem moim, że z tych cztérech morgów całego obszaru pola mego sam wyżyć nie mogę.

Choć ciężko pracuję na kawałek chleba, przy tak małém gospodarstwie mojém, to i tak nie upadam na duchu, pracuję około oświaty ile mi czasu zbędzie od pracy, bo z duszy i serca pragnę, ażeby i moi sąsiedzi tych byli myśli, co i ja, i mieli poczucie narodowości, kochali swój kraj i wiedzieli czém nasz kraj ukochany był dawniéj a czém jest teraz.

My włościanie jesteśmy ciemnymi nazwani u innych narodów; wołamy od lat kilku oświaty, oświaty, bo oświata jedna z najpotrzebniejszych rzeczy na świecie. Jest dosyć ludzi u nas, co wołamy oświaty, ale takich mało, coby nam ją dali.

Niechże ten chwalebny przykład pana Ruckiego poruszy dobre chęci a Wysoki Sejm nasz niechże raz uchwali, ażeby szkółki ludowe u nas za przymusem wszędzie były zaprowadzone. Bo naprzykład, gdy bydlę uwiązgnie w bagnie, któż go ma ratować? Juźci gospodarz. Tak samo i nas włościan uwiązgniętych w ciemnocie powinni właściciele dóbr ziemskich i władze krajowe ratować.

Pozwolę sobie jeszcze podać drugi przykład, ale naszéj ciemnoty. Kura swojska, gdy się zdziczy, to ją

gospodyni dobra czyli dbała, do domu zgania, bo inaczéj życie postrada, a sama do domu nie przyjdzie. Tak samo my włościanie podobni jesteśmy do téj kury. Żyjemy w ciemnocie, ale nie nasza w tém wina.

Szanowny panie Józefie z Bochni, podaję wam sumienną prawdę. — W parafii Grabie, w powiecie wielickim, do któréj ja należę, jest szkółka, wybudowana od lat dziesięciu przez parafijan. Do dziśdnia stoi bez użytku i wniwecz się obraca. Nikt jeszcze o niéj nie pomyślał, bo to nie pszenica w śpichlérzu.

Druga parafija Bierzanów; graniczy z gruntami naszemi. Jest wieś bardzo piękna, majętna i wielka. Ma kościół murowany, muzykę na różnych instrumentach, umiejącą grać dobrze, a z włościan miejscowych urządzoną. Jest poczta we wsi; ogrody jarzynne bardzo śliczne, zabudowania porządne, jedném słowem, Bierzanów cacko, ale niestety szkółki nie ma. Któż temu winien? Nie chcę o tém mówić.

Trzecia parafija Wieliczka, w powiecie Wielickim. Ma ona wsi 29, ludności 16.000, szkółki ani jedna gmina nie ma u siebie. Przecież te 29 wsi mogłyby utrzymać choćby jednę szkołę, a że jest inaczéj, żal ściska moje serce. Może poradzą temu dobrzy ludzie aby była chwała Boża a pożytek ludzki.

Wolałbym, żeby u nas stawiano nie karczmy i gorzelnie, ale zaprowadzano szkółki i czytelnie ludowe, żeby rósł przemysł i wzrastały fabryki a potém przestaniemy kupować u cudzoziemców chléb własny.

Serdeczny wasz przyjaciel i brat

Maciej Szarek z Brzegów.

CO SŁYCHAĆ W ŚWIECIE?

Widoki rychłego zakończenia wojny spełzły na niczém. Minister pruski Bismark postawił tak przesadne warunki, iż Francyja bez upodlenia się przyjąć ich nie mogła. To też rząd francuzki odrzucił żądania Bismarka i postanowił prowadzić wojnę na życie lub śmierć. Promaklamacyja rządu republikańskiego francuzkiego do ludu mówi: Paryż jest oburzony do najwyższego stopnia i raczéj pogrzebie się we własnych gruzach niż się podda. Na zuchwałe słowa nieprzyjaciela odpowiada się tylko wojną do ostateczności. Francyja przyjmuje tę walkę i liczy na wszystkie swoje dzieci! — Odezwa ta dobre zrobiła wrażenie w całéj Francyi i zapał jest ogromny.

Pojedyncze miasta dają ogromne sumy pieniędzy na uzbrojenie. I tak miasto Marsylija rozpisała pożyczkę dziesięciu milijonów na broń; odpowiednie sumy i inne miasta składają. Z całego kraju garną się ludzie do szeregów. Tworzy się jedna armija koło miasta Lyjonu, a druga nad rzéką Loirą, które razem do półmilijona wojska dostarczą. Prócz tego w górach i lasach jest pełno oddziałów ludu uzbrojonego, tak zwanych wolnych strzelców, którzy na mniejsze posterunki Prusaków z nienacka napadają, transporta i żywność im zabiérają, i ciągle niepokoją, tak, iż Prusacy ciągle muszą być na nogach, co ich bardzo osłabia i niszczy. Prusacy gorsi od Moskali; jak dzicy barbarzyńcy mszczą się na Francuzach za to, iż ci swojéj ojczyzny bronią; palą wsie do szczętu, wieszają, strzelają mężczyzn i kobiéty.

Strasburg, mocna bardzo twierdza francuzka, musiała się poddać Prusakom z powodu wyłomu w murach i wielkiego zniszczenia miasta. Dla Prusaków zysk ztąd wielki, gdyż najpiérw znaleźli w Strasburgu 1,070 armat, 12,000 karabinów i 6,000 centnarów prochu, a powtóre, iż mogą działa z pod Strasburga prowadzić na Paryż i wojsko ich oblegające Strasburg gdzieindziéj użyć.

Pod Metz i Paryżem tak im nie idzie.

Dzielny jenerał francuzki Bazaine robi z Metz ciągłe wycieczki. — I tak d. 27 września zrobił wielką wycieczkę koleją przyczym zabrał Prusakom 200 wołów i dużo innéj żywności; Prusacy stracili kilka tysięcy zabitych, rannych i wziętych do niewoli. — D. 2. b. m. zrobił Bazaine znowu wielką wycieczkę i szczęśliwie, a 8. b. m. z dwóch stron zaatakował wojsko pruskie oblegające, zadał mu znaczne straty i odebrał bardzo znaczne zapasy żywności. Z tego powodu duch upada w wojsku pruskiém, tém bardziéj iż cierpią głód, zamiast dwu funtów chleba i mięsa dostaje żołnierz pruski tylko półfunta na dzień, a za najdroższe pieniądze nic nie kupi; przytém wybuchła u nich zaraza na bydło i nosacizna u koni wskutek wilgotnéj pory. —

W Metz jest 100.000 wojska francuzkiego i żywności na dwa miesiące jeszcze. —

I pod Paryżem nie lepiéj teraz się wiedzie Prusakom. Ponieważ Francuzi poniszczyli wszystkie drogi, pozrywali mosty, popalili lasy w okolicy Paryża, więc trudno jest Prusakom uszykować się w około miasta i postawić działa na odpwiednich miejscach. W Paryżu zaś zapał niesłychany, gwardyja narodowa prosi się, aby ją przeciw wrogom prowadzić. Robią z miasta wycieczki wielkie, które Prusaków bardzo dużo ludzi kosztują i niepozwalają im się ustawić. I tak w walce przy Paryżu d. 19 września stracili Prusacy 15.000 zabitych i rannych.

Raz wyruszyli Francuzi w nocy z Paryża, użyli światła elektrycznego nadzwyczaj mocnego i tak ustawionego, iż oświécało Prusaków tylko, a ich w ciemności zostawiło; pobili tedy Prusaków i zabrali 800 do niewoli. — 30 z. m. zwyciężyli znowu Francuzi i zabili 10.000 Prusaków. —

W Rosyi zakupują Prusy ogromną ilość kożuchów na zimę, bo się spodziéwają pod Paryżem zimować. Paryż jest bardzo mocno ufortyfikowany. Na około są wały i szance, rowy głębokie, wodą napełnione, a na wzgórzach za miastem forty, mniejsze twierdze zaopatrzone działami niosącemi aż do dwóch mil, z których krzyżowy ogień nie dopuszcza wrogom przybliżyć się do miasta.

Jeżeli Paryż i Metz będą się dłużéj tak dzielnie bronić jak dotąd, to nowe armije francuzkie zajmą Prusakom tył, i wytępić ich mogą do nogi.

W potrzebie wpadają ludzie na różne sposoby; i tak nie mogąc inaczéj wysyłają Francuzi listy i rozkazy balonami, które tak wysoko wznoszą się w powietrzu, iż kule pruskie ich nie dosięgają. — Nie tylko listy idą balonami, ale nawet komisarze rządowi, a 8 b. m. minister Gambetta puścił się balonem z Paryża i dostał się szczęśliwie do Tours.

Nadeszły téż Francuzom posiłki ochotników z Włoch pod dowództwem Garybaldego, z Hiszpanii i Algierii.

Rzym poddał się wojskom włoskim na rozkaz Ojca św., który widział iż długo przeważnym siłom oprzeć się nie potrafi, ażeby oszczędzić rozlewu krwi. — Król włoski po zajęciu Rzymu napisał do Ojca św. list, w którym mu donosi o dokonanym czynie i prosi o błogosławieństwo. — Ale Ojciec św. zaprotestował i ogłosił się jeńcem. — Dla uprawnienia zaboru nakazał rząd włoski w Rzymie i w kraju papiéżowi zabranemu, plebiscyt t. j. głosowa-

nie powszechne nad pytaniem czy mieszkańcy chcą należeć do Włoch pod rządem króla Wiktora Emanuela. Bardzo znaczna większość odpowiedziała „tak.“ Wynik tego głosowania wręczyła 9. b. m. deputacyja rzymska królowi śród ogromnych uroczystości. — Rzym ma być ogłoszony stolicą Włoch, a Ojcu św. pozostawiono jedną tylko dzielnicę miasta; przytém nakazał rząd włoski oddawać papiéżowi honory królewskie, kardynałom książęce, przyrzeka uważać, by Ojciec św. w swoich czynnościach duchownych był zupełnie niezawisłym, i zobowiązał się wypłacać Ojcu św. na utrzymanie jego dworu, kancelaryi i reprezentacyi za granicą. — 1. b. m. wypłacił rząd włoski Ojcu św. 50,000 talarów na jeden miesiąc, które Ojciec św. przyjął. — Papiéż chce Rzym opuścić i wyjechać za granicę.

W Wiédniu Rada państwa odroczona, bo Czesi uchwalili w sejmie nie wysyłać posłów swoich do Wiédnia.— Ministeryjum nakazało w Czechach bezpośrednie wybory wprost nie do sejmu ale Rady państwa. Jest wątpliwa, aby się rządowi udało wciągnąć tym sposobem Czechów do Wiédnia.

ROZMAITOŚCI.

* W obwarowywaniu Paryża brały udział najpoważniejsze osoby, najwięksi uczeni z wielką gorliwością. Widziałeś tam różnych profesorów, prezydentów, ministrów i księży, a nawet zgrzybiałych starców. Jeden, o którym czytaliśmy, miał 84, drugi 70 lat wieku.

* Pewnemu rannemu Francuzowi na rozkaz lékarza miano odjąć prawą rękę. Poddał się z gotowością téj operacyi. Wytrzymawszy boleść, wziął martwą rękę do drugiéj, a całując ją powiedział: Tą ręką żywiłem moją starą matkę!... W niemém boleści położył ją obok siebie i obrócił się ku ścianie.

* W połowie z. m. panowała w Wiédniu szalona burza. Zrywała dachy, wyrywała drzewa z korzeniami a nadto zabiła kilkoro ludzi. Jadące wozy wrzucała do rowów, dla tego nie jeżdżono wcale. Na pewnéj ulicy uszkodziła burza przeszło 40 jadących wozów.

* D. 11. z. m. poszedł Jan Starchoń w Ludkowicach w Morawii z dwoma wieśniakami do piwnicy po wino. Chcąc ich starém poczęstować winem, poszedł głębiéj do piwnicy. Dwaj wieśniacy nie mogąc się doczekać Starchonia, poszli za nim, lecz żaden z nich nie wrócił, bo ich powietrze zepsute udusiło. Na drugi dzień znaleziono ich nieżywych.

* Przestrzegamy rodziców, ażeby nie pozwalali dzieciom swoim jeść ziarnek z pestek, szczególnie z brzoskwiń i moreli, bo ziarna te zawiérają w sobie części wielkiéj trucizny, która się nazywa kwasem pruskim. Wszelkie takie ziarna z pestek mogą sprowadzić otrucie.

* Muszkatowa gałka jest owoc drzewa, które rośnie na wyspach moluckich. Holendrzy przywłaszczyli sobie ich zbiéranie. Gałka na najprzód, jak nasze orzechy, grubą łupę, która sama opada, skoro gałka jest dojrzała. Za nią znajduje się powłoka mięsista i cienka, którą z ostrożnością oddziérają od świéżéj gałki i na słońcu suszą. To się zowie muszkatowy kwiat, albo muszkat, ale nader niewłaściwie.

* Wiśnie i śliwki najsmaczniéj suszą się z ogonkami. Jabłka i gruszki przeznaczone do suszenia, należy oczyścić z nadpsutych części i ośrodka z nasionami, pokrajać w talarki i znizane suszyć na słońcu lub w piecu podobnie jak grzyby.

* Ocet rozmaitymi sposobami i z rozmaitych rzeczy robić można. U nas najlepszy, najtańszy i sposobem najłatwiejszym otrzymuje się ocet, biorąc jabłka i gruszki zgniłe i do innego użytku niezdatne, a wrzuciwszy je do kadzi lub beczki otwartéj, nalać wodą, zostawić, niech się kiszą przez kilka tygodni dodając do tego wszystkie szczątki i skórki spożywanych owoców; poczém zcedzić płyn do beczki przez bibułę lub flanelę, a po kilku tygodniach będzie wyborny ocet.

* Słoń jest największy pomiędzy wszystkiemi czworonożnemi zwiérzętami. Są takie, które ośmnacie stóp mają wysokości. Starodawni budowali wieże na słoniach; w takiéj wieży bywało często więcéj niż trzydziestu żołniérzy. Nos słonia jest trąbą długą i wydrążoną, któréj używa jako ręki, a dwa jego zęby bardzo długie, są tém, co nazywają słoniową kością. To zwiérzę jest bardzo pojętne i wierne i ma nadzwyczajną siłę; może udźwigać ciężar trzydziestu centnarów. Żywi się trawą i liśćmi drzew. Żyje od 150 do 200 lat.

Myśli różne przez S. J.

Pracuj, módl się i żyj w zgodzie,
To ci biéda nie dobodzie.
Kto porządnie wszystko czyni,
Siebie, drugich nie obwini.
Szanuj życie, to rzecz droga;
Dłużéj żyjesz, dłużéj chwalisz Boga.
Szczęście ulata, cnota zostaje;
Lepsze nad złoto dobre obyczaje.
Nie sądź surowo o bliźniego błędzie,
A Bóg surowym dla ciebie nie będzie!

Znaczenie zagadki: *bób*.

Książki pożyteczne do czytania dla bibliotek ludowych poleca się:

Domowy lékarz i domowa aptéka, sposobem dla każdego przystępnym wyłożył F. V. Raspail. Warszawa, 1864. 85 centów.

Do Ameryki, wedle prawdziwego opowiadania Szymona, spisał dla ludu Mieczysław w Poznaniu. Poznań, 1870. — 30 c.

Gramatyka domowa dla użytku dzieci i dojrzałych osób, ułożona w dwóch częściach z licznemi drzeworytami przez J. B. Wagnera. Warszawa, 1860. 1 złr. 50.

Hygijena popularna, czyli nauka zachowania zdrowia dla ludu wiejskiego, ułożona przez L. Bokiewicza. Warszawa, 1861. — 85 c.

Od Redakcyi.

Panom Prenumeratorom, którzy popłacili do końca roku, przesyłamy premiją, — i prześle się ją także tym, którzy przedpłatę do końca roku nadesłać zechcą.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan.

W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.